WTOREK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 108 9 WRZEŚNIA 1975 R CENA 1,50 ZŁ

Zdjęcie: M. Żbikowski

POMYSŁ NIE TYLKO NA LATO

BAL GAŁGANIARZY

Wakacje już za nami, akurat pora na wspomnienia.

Sporo ich mają niewątpliwie dzieci z województw: częstochowskiego, bielskiego i katowickiego, które przebywały w stanicy NAL w Katowicach. A najwięcej tych wspomnień wiąże się z NAL-owskim Balem Gałganiarzy, który prezentujemy na zdjęciu obok, a także na str. 5.

BEETHOVEN I HARCERZE

BYTOM (HSI). Przy bytomskiej Państwowej Szkole Muzycznej istnieje Harcerska Orkiestra Symfoniczna. Na wielu koncertach harcerze wykonują utwory wielkich kompozytorów. Zdaniem znawców grają oni wyśmienicie. Na ostatnim koncercie harcerska orkiestra zachwyciła słuchaczy wykonaniem uwertury koncertowej „Egmont" Ludwika van Beethovena. (mh)

POŻYTECZNA AKCJA

KRAKÓW (HSI). „Ochotnica-80" to nazwa akcji prowadzonej przez Krakowską Chorągiew ZHP. W jej ramach harcerze pracowali przy budowie dróg w Ochotnicy Górniczej i Trybszu, pomagali w stawianiu budynków urzędu gminnego, ośrodka zdrowia i szkoły w Tylmanowej. Dziełem uczestników akcji były także pomalowane mosty i przystanki PKP. (mh)

SKARB DLA HOBBYSTÓW

ŁODŹ (HSI). Skarbem tym jest na razie sam pomysł. Ale za to jaki pomysł! Jego autorem jest dyrekcja Łódzkiego Oddziału Centralnej Składnicy Harcerskiej, która postanowiła otworzyć „Dom Majsterkowicza". Prawdziwych klejnotów będą do tego skarbca dostarczały 23 przedsiębiorstwa, które jednocześnie i zasłużą się hobbystom, i znajdą doskonały sposób na pozbycie się bezużytecznych już dla swej produkcji elementów. Skończą się wreszcie kłopoty tych (mieszkańców Łodzi tylko, niestety!), którzy sami mają ochotę ulepszyć mieszkanie, zbudować żaglówkę, radioodbiornik itp. Dom ten stanie się prawdziwym rajem dla majsterkowiczów, dla których do tej pory znalezienie odpowiednich materiałów było nierzadko czystym marzeniem. „Dom Majsterkowicza" ma nadzieję otworzyć swe podwoje już w październiku br.

(mh)

BANK GENÓW W SKIERNIEWICACH

SKIERNIEWICE (PAP). W Skierniewicach powstał oryginalny bank genów. Zgromadzono tu ponad 200 odmian żyta i blisko 100 odmian innych zbóż. Sprowadzane z ogródków botanicznych i stacji doświadczalnych nasiona są w Skierniewicach wysiewane i reprodukowane. Nowo zebrane ziarno jest przez silne odwadnianie wprowadzane w stan tzw. życia utajonego i zamykane w specjalnych naczyniach z azotem. Ten sposób przechowywania pozwoli na przedłużenie życia nasion do kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu lat.

Naukowcy zamierzają gromadzić nasiona wszystkich roślin głównie zaś rzadkich gatunków, którym grozi wyginięcie. Tak zakonserwowana kolekcja nasion będzie wykorzystana w pracach genetycznych i hodowlanych. **(bis)**

HOMEOPATIA – NAUKA O ZIOŁACH

DĄBROWA BIAŁOSTOCKA (HSI). Działa tutaj taki zastęp harcerski, którego pasją jest nie tylko znajomość poszczególnych gatunków ziół i ich przeznaczenia. Zainteresowaniom teoretycznym towarzyszy tych ziół zbieranie. Ale i na tym nie koniec. Harcerze zioła sprzedają, o zarobionymi złotówkami zwiększają konto budowy Centrum Zdrowia Dziecka.

Jacek Peliksza

V PIŁKARSKIE MISTRZOSTWA EUROPY

KONCERT NA... CZTERDZIEŚCI CZTERY NOGI!

Już jutro, na chorzowskim gigancie, zmierzą się dwie piłkarskie potęgi naszego globu: reprezentacja Holandii i Polski! Mecz ten nie bez kozery określany jest przez piłkarskich speców mianem finału ubiegłorocznych mistrzostw świata. Oba zespoły to prekursorzy nowego stylu gry — futbolu totalnego. Zespół, który zwycięży w chorzowskiej batalii, chyba awansuje do finału mistrzostw Europy. Piszemy „chyba", gdyż zarówno zwycięzców jak i pokonanych oczekują spotkania rewanżowe.

A więc kto wygra? W jakim zestawieniu zagrają biało-czerwoni? Kto będzie aniołem stróżem słynnego Johana Cruyffa? Jaką taktykę obierze nasz zespół? Odpowiedzi na te pytania znajdziecie na stronie 4, gdzie zamieszczamy rozmowę jaką przeprowadził „Świat Młodych" z selekcjonerem narodowej reprezentacji, Kazimierzem Górskim. (ds)

Zdjęcie: J. Łopuszyński

Dziś przedstawiamy:

DRW

Trzydzieści lat temu, 2 września 1945 roku, na centralnym placu Ba Dinh w Hanoi, legendarny bojownik o wolność Wietnamu Ho Chi Minh przemawiając do tysięcznych tłumów proklamował powstanie Demokratycznej Republiki Wietnamu. Było to pierwsze państwo robotników i chłopów w Azji Południowo-Wschodniej.

Tę historyczną datę poprzedziła długotrwała walka podziemna komunistów wietnamskich z kolonialistami, a następnie okupantami japońskimi. Niedługo jednak Wietnamczycy cieszyli się upragnionym pokojem. Już 23 września tego samego roku, a więc zaledwie w 3 tygodnie po proklamowaniu DRW, wojska francuskie wspomagane przez okręty angielskie zaatakowały Sajgon. Rozpoczęła się „brudna wojna", która zakończyła się dopiero po 8 latach, kapitulacją Francuzów pod Dien Bien Phu. Ale tragedia Wietnamczyków jeszcze się nie skończyła. Oto, w wyniku Konferencji Genewskiej w 1954 r. Wietnam został tymczasowo podzielony na dwie części – wzdłuż 17 równoleżnika. Wybory powszechne, które miały wyłonić rząd centralny i doprowadzić do zjednoczenia, zostały przez siły imperialistyczne, udaremnione. I tak utrwalił się na długie lata podział kraju.

DRW przystąpiła do realizacji reformy rolnej. Dla chłopów oznaczało to wyzwolenie z 1000-letniego ucisku feudalnego. Proces nadrabiania wielowiekowych opóźnień można podzielić na 3 etapy: lata 1955–57 to odbudowa ze zniszczeń wojennych; w następnym okresie (do 1960 r.) położono nacisk na umocnienie sektora państwowego w przemyśle. Etap trzeci – zbudowanie materialnej i technicznej bazy socjalizmu znowu przerywa wojna z amerykańską interwencją, która z różnym nasileniem trwała aż do stycznia 1973 r. Wówczas to w Paryżu podpisano porozumienie o zaprzestaniu wojny w Wietnamie. W trzydziestoletniej historii DRW tylko 10 lat przeżyli Wietnamczycy w spokoju. Pozostałe 20 lat było nieustanną walką o prawo do własnej ojczyzny, o prawo do życia. W tych trudnych latach dzieliliśmy z nimi cierpienia, tak jak teraz razem z nimi cieszymy się z ich święta. (b)

Wszystkim wydawało się, że kraj ten zaczyna wreszcie ustabilizowany byt, który zapewniają mu coraz większe wpływy z wydobycia ropy naftowej. Tak się bowiem złożyło, że Nigeria posiada jedne z największych na kontynencie afrykańskim złóż tego cennego surowca. Zresztą nie tylko ropa przysparza owego bogactwa. Również inne kopaliny. W ogóle po okresie konfliktów wewnętrznych wydawało się, że pod rządami gen. Govona Nigeryjczycy żeglują w stronę dobrobytu. Tymczasem...

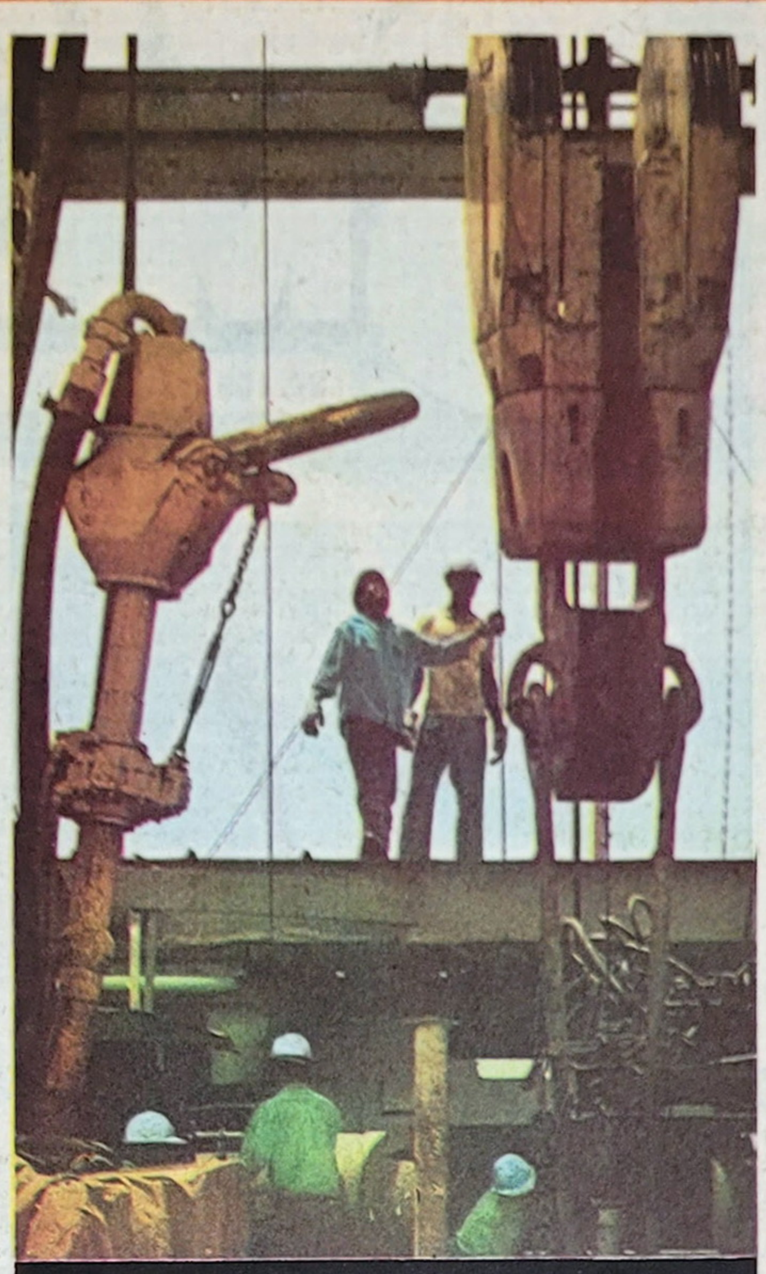

NIGERIA NAFTĄ PACHNĄCA

Gdy rozgłośnia radiowa w Lagos nadała komunikat o odsunięciu od władzy **gen. Yakubu Gowona,** on sam znajdował się daleko poza granicami swego kraju. Złą wiadomość zastała go w stolicy Ugandy – Kampali, gdzie odbywało się XII zgromadzenie Organizacji Jedności Afrykańskiej. Przyjął ją z godnym podziwu spokojem, zważywszy sytuację, w jakiej się znalazł, zaś następnego dnia złożył na konferencji prasowej deklarację lojalności wobec nowego rządu. Wymienił też w ambasadzie nigeryjskiej prezydencki paszport na inny, w którym w rubryce „zawód" wpisano mu: „generał w stanie spoczynku". Jego następca, b. minister łączności, **gen. Muritala Rufaj Mohammed** ze swej strony powiedział, że Gowon może bez przeszkód wrócić do kraju, „jak tylko zaistnieją warunki dla zagwarantowania mu bezpieczeństwa" i że otrzyma „emeryturę godną swych zasług". Ta niespotykana wzajemna uprzejmość nie jest sprawą przypadku. Gowon ma bowiem rzeczywiście niezaprzeczalne zasługi...

PODBÓJ

...tego największego na kontynencie afrykańskim kraju zaczęli w XV wieku Portugalczycy, lecz już po niespełna stu latach wyparli ich Anglicy. Proces kolonizacji zakończył się w 1915 r. utworzeniem Federacji Nigerii, będącej częścią imperium brytyjskiego. I dopiero w 1960 r. Nigeria uzyskała niepodległość, pozostając jednak nadal członkiem Brytyjskiej Wspólnoty Narodów.

Trzy lata później proklamowano utworzenie Federacyjnej Republiki Nigerii, a w spadku po Anglikach, którzy stosowali zasadę „dziel i rządź", młode państwo odziedziczyło zadawnione uprzedzenia pomiędzy głównymi grupami etnicznymi.

Ludność Nigerii tworzy rzeczywiście swoistą mozaikę. Spisanych języków i dialektów jest tu około trzysta. Można jednakże wyróżnić trzy zasadnicze grupy etniczne, stanowiące mniej więcej 3/5 ludności. Część północną kraju zamieszkują Hausowie – sławni kupcy, pasterze i dzielni wojownicy. Mówią jednym wspólnym językiem, który został przyjęty także przez inne zbliżone grupy etniczne, zwłaszcza przez Fulanów, żyjących po części na tym samym terytorium. Hausowie i Fulanie są gorliwymi muzułmanami. Ich organizacja społeczna ma dziś jeszcze charakter feudalny. Północ to świat zamknięty, niechętny wszelkim nowinkom cywilizacyjnym.

Południe jest zupełnie inne. Jest burżuazyjne, chrześcijańskie, otwarte na szeroki świat. Zachodnią część Południa zamieszkują Jorubowie, wschodnią – Ibo. Oba plemiona mają od dawna kontakty z Europą, mają swoją inteligencję, dysponują nowoczesną kadrą fachowców.

Między północnymi Hausa i Fulani a południowymi Joruba i Ibo leży pas Nigerii środkowej, zamieszkanej przez 200 małych plemion, miotanych sprzecznymi uczuciami – po czyjej stronie się opowiedzieć, bo od tego zależy ich spokojny byt.

Oczywiście wszystkie te etniczno-religijne różnice nie odgrywałyby pewno istotnej roli, gdyby nie to, że kolejni przywódcy (premier Balewa czy gen. Ironsi, obaj rządzący przed gen. Gowonem) faworyzowali własnych ziomków, wzbudzając w ten sposób niezadowolenie reszty plemion. Na dodatek zaś...

W PARADĘ WESZŁA ROPA

... która zaczęła stanowić z biegiem czasu główny powód konfliktów. Znajduje się ona bowiem przede wszystkim we wschodniej części Nigerii. Miejscowa burżuazja, wywodząca się z Ibów, postanowiła więc zagarnąć te bogactwa dla siebie i proklamowała 30 maja 1967 r. utworzenie tzw. Republiki Biafry. Ponieważ rząd centralny nie chciał się zgodzić na podział kraju, wybuchła trwająca 2,5 roku wojna. Spowodowała ona śmierć, głód i cierpienia milionów ludzi oraz ciężkie straty materialne.

Po tej wojnie gen. Gowon postanowił skierować cały wysiłek na odbudowę kraju i załagodzenie waśni etnicznych, rozbudzonych na nowo ową biafrańską wojną. A że sam pochodził z małego, niewiele znaczącego plemienia, był więc wygodnym człowiekiem u steru. Nie wadził żadnej z ambitnych grup etnicznych, nikogo nie faworyzował.

Żeby zaś uzyskać środki na odbudowę kraju, zwiększył szybko wydobycie ropy naftowej (od 1968 r. do chwili obecnej wzrosło ono 15-krotnie). I tak Nigeria znalazła się raptem wśród 7 największych producentów tego cennego surowca, z wydobyciem przekraczającym 100 mln ton rocznie. Dochód ze sprzedaży ropy za granicę wyniósł w ub. roku 11 mld dolarów i stanowił ponad 80 proc. wpływów z eksportu. Umożliwiło to rozwój wielu inwestycji przemysłowych (petrochemia, metalurgia), jak również oświaty, służby zdrowia, budownictwa mieszkaniowego i urządzeń komunalnych, rolnictwa.

Gowon wytyczył więc ambitne plany, ale jednocześnie, jako zwolennik kompromisów, stał się przeszkodą w ich realizacji. Jego ugodowość pomogła w osiągnięciu jedności narodowej, a nowy podział administracyjny przełamał tradycyjne granice regionów zamieszkanych przez główne grupy etniczne. Coraz gorzej jednak panował nad sytuacją gospodarczą.

Oczywiście Nigeria starała się maksymalnie wykorzystać wzrost swoich dochodów pochodzących z eksportu ropy, jednak dość prymitywna gospodarka nie potrafi przetworzyć płynącego do kraju strumienia dóbr. Np. w dniu przewrotu na redzie portu w Lagos stało 250 statków, w tym 180 z cementem. W sumie prawie 1,3 mln ton cementu potrzebnego nigeryjskiej gospodarce. W istniejących warunkach na rozładowanie tych statków potrzeba minimum 200 dni, a realnie oceniając – równo roku...

Można więc powiedzieć, że nastąpiło swoiste „zakorkowanie" gospodarki. Zrodziło ono niezadowolenie społeczne. Mnożyły się strajki i krytyka rządu, który nie potrafił skutecznie temu stanowi przeciwdziałać.

Poza tym okazało się, że podział dochodu z nafty jest niesprawiedliwy: zwiększyła się przepaść między naftową i nienaftową częścią kraju. Dotacje rządowe dla poszczególnych regionów rozdzielane są bowiem proporcjonalnie do liczby ludności. Tymczasem według ostatniego spisu okazało się, że w Nigerii żyje nie 65 mln a 80 mln ludności, a jej wzrost nastąpił głównie w stanach północnych. Zaczęły znów padać argumenty o dyskryminacji etnicznej. Oliwy do ognia dolała zaś podwyżka płac urzędników (o 133 proc.), co spowodowało niezadowolenie innych grup zawodowych i wreszcie odmowę generała Gowona oddania władzy cywilom, choć sam to wcześniej przyrzekł.

GENERAŁ MOHAMMED

... będący człowiekiem Północy, odziedziczył więc trudną spuściznę. Z pewnością będzie starał się wprowadzić większą dyscyplinę. Zapowiedział już, że będzie zwalczał korupcję i postara się szybko wyprowadzić kraj na właściwe tory. Warunkiem osiągnięcia tego jest jednak przede wszystkim umiejętne wykorzystanie dochodów z ropy, by nadmiar bogactwa nie spowodował udławienia się gospodarki kraju, która nie zdąży „przerobić" uzyskanych dóbr. No, a sam gen. Mohammed musi unikać konfliktów plemiennych, lecz, czy jako członek najliczniejszego plemienia Hausa ustrzeże się przed tym?

Dziś Nigeria pachnie naftą. Jest to z pewnością zapach o wiele lepszy od zapachu krwi.

Oprac. **W. PIELECKI**

Gdyby nie remanent...

Zebranie zaczęło się jak każde inne — od zagajenia i przyjęcia porządku. Były nawet kwiatki ze szkolnego ogródka, dla najdostojniejszego z przybyłych gości — tym razem dla pana dyrektora.

Grzegorz — główny referent, chrząknął poważnie i profilaktycznie napił się wody ze stojącej obok — jak na każdym zebraniu — karafki, i... zaczął. Normalnie, jak w takich przypadkach się zaczyna — „Koleżanki i koledzy, w waszym i własnym imieniu witam najgoręcej..."

I tu nastąpiło dość długie wyliczanie nazwisk i tytułów przybyłych na zebranie gości.

Temat zebrania, nie powiem, poważny i ciekawy — remanent czynów społecznych „w minionym okresie", czyli w poprzednim roku szkolnym oraz plan na rok bieżący. Toteż wszyscy z uwagą wsłuchiwali się w podniosły ton mówcy i coraz dumniej podnosili czoła. Bo i powód był ku temu uzasadniony — wszak tyle boisk wybudowali, drzewek i krzewów zasadzili, że wstydzić się nie mają czego, wręcz przeciwnie!

Sprawozdanie przygotowane było solidnie: wyliczało dokładnie ilość roboczogodzin, przeliczonych na roboczodni, a te z kolei na złotówki, a nawet ilość domów, jakie można by za nie wybudować... Bardzo solidne sprawozdanie!

Na zakończenie godzinnego wystąpienia referent „zreasumował". Wyszło z tego czarno na białym, że: szkoła „aktualnie" posiada 12 boisk do siatkówki, 8 do szczypiorniaka, 11 do koszykówki i 3 do piłki nożnej — wprawdzie o zmniejszonych wymiarach, ale są! — nie licząc kilkunastu skoczni i bieżni... Wokół szkoły — według sprawozdania — rośnie las liczący kilka tysięcy drzew i tyle samo krzewów.

Referent triumfalnym wzrokiem ogarnął zebranych i zapytał — dla porządku — czy są jakieś pytania i uzupełnienia?

Ależ, skądże znowu! Uzupełnień nie było, tylko... jedno maleńkie pytanie rzucone gdzieś z kąta sali. — Czy w tym roku czyny społeczne też będą realizowane, bo... tak naprawdę — to nie ma gdzie grać w piłkę, ani biegać i skakać...

Rzeczywiście, w sprawozdaniu zabrakło remanentu stanu faktycznego — na dzień dzisiejszy — wybudowanych w czynie społecznym obiektów...

Gdyby nie remanent — wszystko byłoby w porządku, można by podjąć zobowiązania budowy nowych boisk, sadzenia drzewek i krzewów, siania trawki... A teraz?! Trzeba się zastanowić nad tym, gdzie się podziały już wybudowane i dlaczego? Kto zniszczył trawniki i połamał drzewka i krzewy? Kto... Jeszcze wiele pytań trzeba by zadać — „Kto i dlaczego?"

Z odpowiedzi na te pytania mogłoby wyniknąć, że sprawcami tego są sami siedzący na sali — twórcy i jednocześnie niszczyciele... Budują w czynie społecznym, by było się czym pochwalić przy różnych okazjach, a i splendor spływa na całą szkołę. Niszczą — tak sobie, prywatnie i bezmyślnie, bo czyn społeczny — to inna sprawa, a poszanowanie własnej i cudzej pracy — to też inna...

I w tym momencie padła z sali nieśmiała propozycja: — Może by tak w czynie społecznym szanować to wszystko, co wokół nas i dla nas?...

To jest myśl! Wtedy remanent zgodzi się z rzeczywistością, a czyny społeczne będą miały sens...

RYSZARD RATAJCZYK

LUDZIE CODZIENNEJ PRZYGODY

POWIEDZ MI, JAK TO JEST?

DZIWNIE TO BRZMI, ale prawdziwie. Wbrew porzekadłu „bodajbyś cudze dzieci uczył" tych dwoje ludzi ma cywilną i fizyczną odwagę powiedzieć, że moje hobby — to szkoła. I nie tylko powiedzieć.

On i ona

Poznali się 21 lat temu w roku 1956 na obozie harcerskim w Karpinie koło Kościerzyny. ZDZISŁAW KUŻEL był komendantem obozu, a KRYSTYNA BREWIŃSKA — komendantką podobozu harcerek. Druhna Krystyna bardzo bała się groźnego komendanta. Z tej bojaźni i grozy wynikło harcerskie małżeństwo. Oboje zostali nauczycielami i osiedli w rodzinnej miejscowości druha Zdzisława — SWARZEWIE (13 km od Pucka w stronę Helu), gdzie do dziś — każde na swój sposób — zajmują się jedną z najbardziej „dracznych" szkół w Polsce.

ON — po ukończeniu Liceum Pedagogicznego w Wejherowie — otrzymał pierwszą posadę nauczycielską w r. 1959 w Mrzezinie. Miał wtedy 20 lat (dziś ma 36) i w małej chałupce z pięcioma klasami uczył przez 7 lat około 240 dzieci matematyki, fizyki, chemii i wychowania fizycznego. Jednocześnie był tam drużynowym bez przeszkolenia. Od 11 lat uczy w Swarzewie fizyki, chemii i zajęć praktyczno-technicznych.

ONA — po ukończeniu dwu szkół jednocześnie (Państwowa Szkoła Muzyczna w Sopocie i Liceum Ogólnokształcące), a następnie Studium Nauczycielskiego w Gdańsku (wychowanie plastyczne) zaczęła uczyć w roku 1964 języka polskiego, wychowania muzycznego i wychowania plastycznego — właśnie w Swarzewie.

OBOJE są działaczami harcerskimi. Druh Zdzisław niezależnie od tego, że prowadzi drużynę harcerską w szkole, pełni funkcję Przewodniczącego Komisji Rewizyjnej przy Komendzie Hufca w Pucku, druhna Krystyna też prowadzi drużynę, ale od 4 lat jest również zastępcą komendanta hufca.

W ich 8-klasowej szkole jest około 120 uczniów. 80 proc. to harcerki i harcerze, którzy o pani Kużelowej nie mówią inaczej, jak „nasza druhna", a o panu Kużelu — „nasz druh". Nie najgorsze to przezwiska.

„Draczna" szkoła

Wizytacja. Pan inspektor przyszedł! Popłoch? Nie! Wszystko odbywa się normalnie, tylko te pauzy jakieś nietypowe. Z sześciu głośników w każdej klasie i na korytarzach rozlega się sygnał szkolnej rozgłośni i... „Tu harcerski koncert życzeń!" Dedykacja. Melodia. Melodia ze starej płyty i informacja, który uczeń tę płytę wyszperał. Jest bowiem w szkole klub kolekcjonerów płyt i ambicją każdego kolekcjonera jest nadać co jakiś czas jakąś własną „starą nowość".

Zdzisław Kużel — teleharcmistrz puckiego hufca.

z komunikatami harcerskimi nie ma kłopotu, i z zawiadomieniami uczniów o ważnych sprawach czy zajęciach.

W „studio", czyli w świetlicy, gdzie jest wzmacniacz i mikrofon, szaleje ze swoimi asystentami druhna Krystyna, przyjmując wiele zleceń nauczycieli i zamówień uczniów.

Czy potrzebna jest aż taka machina dla 120 uczniów? Ileż to kosztuje?

A no właśnie. Prawie że nic. Cały radiowęzeł skonstruowano we własnym zakresie ze starych odbiorników radiowych pod kierunkiem druha Zdzisława. Obudowę wykonał on sam. Nikt nie nazywa tego szumnie „czynem społecznym".

Krystyna Brewińska-Kużelowa — malarka kolorowej ciszy.

Checz Kaszubska — najstarszy dom w Swarzewie, zbudowany w ubiegłym stuleciu z gliny i belek wzmacniających. Połowa tej checzy to dom mieszkalny, a druga połowa to pomieszczenie dla kóz.

Zabawa na 24 fajerki. Nie ma nudy. Pełny relaks, bo i potańczyć sobie przy muzyce można. Pan inspektor zdziwił się... mile. Dopiero potem dowiedział się, że szkolna rozgłośnia spełnia wielorakie funkcje. Bo to i przemówienia ministra można wysłuchać w klasie, i być na koncercie, i

Przejdźmy jednak do pracowni. Oto generator do nauki akustyki dla kl. VII, a to generator fali elektromagnetycznej, a tu tablice radiowe — schematy działania lamp elektronowych i tranzystorów, a tam — przyrząd do działania diody elektrycznej, a tu plansza ukazująca działanie telefonu. Można tu znaleźć niemal wszystkie pomoce naukowe potrzebne do nauki w kl. VIII. Wszystko to wykonane jest niemal z niczego przez druha Zdzisława i jego uczniów. Sami zbudowali odbiornik radiowy-detektor z diodą krystaliczną.

Są wprawdzie pieniądze na pomoce naukowe, ale za te pieniądze kupuje się sprzęt bardziej skomplikowany, uniwersalny, np. rzutniki, adaptery itp.

Tu nie deklamuje się o politechnizacji. Tu się ją realizuje.

Technika i sztuka

— Moje zainteresowanie techniką wynikło z konieczności — mówi druh Zdzisław. W szkole nie było fachowców, a potrzebne były pomoce naukowe. Była to dla mnie i jest przygoda z techniką. Nastąpiła „reakcja łańcuchowa" i zacząłem rozwijać zainteresowania techniczne wśród uczniów.

— Największe osiągnięcie?

— Można by to nazwać wynalazkiem, chociaż nie zabiegaliśmy o patent. Nazwaliśmy ten przyrząd NUTODŹWIĘKIEM. Było to urządzenie do nauki kompozycji, wykonane 6 lat temu dla Szkoły nr 2 we Władysławowie. Opracowaliśmy je wspólnie z kol. Zygfrydem Blaszke i Marianem Brechelke.

— Proszę o krótki opis...

— Na wielkiej drewnianej tablicy o wymiarach 2 m x 1,5 m jest pięć namalowanych pięciolinii. Na liniach i między liniami jest około 1000 otworów. Do otworów tych wkłada się bolce metalowych nut różnych wartości (kilkadziesiąt elementów). Przy każdej operacji zapala się światło elektryczne i rozlega się dźwięk.

Za tablicą jest urządzenie akustyczne: generator, wzmacniacz i głośnik.

Uczeń widzi zapisaną przez siebie melodię i może komponować na tablicy, zagrać melodię, odczytać solfeż.

★

W nauczycielskim mieszkaniu państwa (druhostwa) Kużelów jest wiele obrazów. Większość z nich to dzieła druhny Krystyny. Jej prywatny świat to malarstwo. Smak plastyki poznała dzięki profesorowi Studium Nauczycielskiego Wincentemu Lewandowskiemu. Dziś druhna Krystyna jest członkiem Klubu Nauczycieli-Plastyków w Gdyni. Maluje metodą surrealistyczną i „opowiada pędzlem" o takich sprawach jak np. „Życie wokół nas", „Samotność człowieka XX wieku". Rocznie maluje najwyżej 5 obrazów. Ma za sobą wernisaż w Gdyni (1972), wernisaż w Pucku (1974) i wiele wystaw. Nie sprzedaje swoich prac. Te wyjęte spod serca „opowiadania malarskie" po prostu rozdarowuje, przeważnie do szkół. A jest na co popatrzeć.

Powiedz mi, jak to jest...

W niewielkiej szkole na północnym skrawku Polski żyje, pracuje, tworzy, działa dwoje ludzi godnych podziwu. Ich 6-letni syn Piotrek chowa się w atmosferze, jaką stworzyć może tylko ojciec niezbyt zabiegający o własną tak zwaną karierę i matka, która mówi:

— Jedenaście lat jestem w tej szkole i nigdy nie opuszczę ani tej miejscowości, ani szkoły. Tylko tu, po wielkim gwarze dnia możemy znaleźć nad brzegiem Bałtyku swoją kolorową ciszę.

A jednak jest to kariera. Nie mierzy się jej oficjalnymi odznaczeniami, choć niejedno mają.

Jest to chyba największa kariera, jakiej dosłużyć się może rzetelny wychowawca i nieposkromiony działacz harcerski. Awansem dla nich obojga jest radość dzieci, które mądrze i pięknie wychowują. Gdybyśmy mogli, przyznalibyśmy im obojgu co najmniej Order Uśmiechu.

WACŁAW BISKO

Zdjęcia: Zdzisław Kużel

Pioneros por el comunismo — seremos como el Che!

KUBAŃSCY PIONIERZY I NAUCZYCIELE Z WIZYTĄ W POLSCE

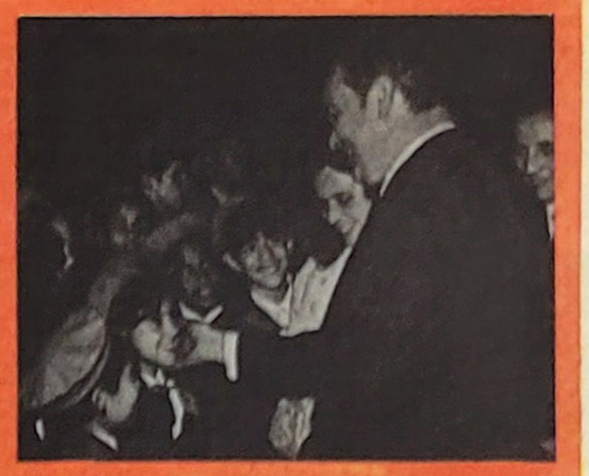

„Przejechaliście przez Polskę tyle kilometrów, ile jest z Warszawy do Hawany" — powiedział minister Jerzy Kuberski na spotkaniu w Pałacu Młodzieży.

Kubańscy pionierzy występują w Szkole nr 92 im. Ernesta Che Guevary w Warszawie.

KUBAŃSCY PIONIERZY zawsze cieszyli się wielką sympatią harcerzy. W tym roku nie tylko harcerze zetknęli się z dziećmi i młodzieżą kubańską. Cały miesiąc wędrowała po Polsce zaproszona przez Główną Kwaterę ZHP grupa 29 pionierów i 14 instruktorów — słuchaczy Instytutu Pedagogicznego, którzy studiują i pracują. Uczą się sami i nauczają.

Przebyli w Polsce trasę niemal równą odległości z Warszawy do Hawany. Byli w Olsztyńskiem i na Śląsku, zwiedzali zakłady pracy, gościli na obozach harcerskich Chorągwi Mazowieckiej, uczestniczyli w akcjach społecznych Chorągwi Katowickiej.

Z młodzieżą warszawską po raz pierwszy spotkali się 23 sierpnia w Szkole Podstawowej nr 92, która istnieje już 10 lat, a od roku 1967 nosi nazwę Ernesta Che Guevary.

Niezwykle serdeczna to była gościna. Mimo różnych języków wykonawcy bogatego programu artystycznego i widzowie doskonale się rozumieli. Jeden z instruktorów kubańskich powiedział na pożegnanie m.in.:

„Dziękujemy za możliwość zwiedzenia szkoły, która jest jakby cząstką ziemi kubańskiej. Już na Kubie słyszeliśmy o tej szkole. W tej chwili spełniamy posłannictwo przyjaźni poprzez piosenki i wiersze. Cieszymy się, że młodzież polska takim pietyzmem otacza naszego bohatera narodowego. Wizytę tę długo będziemy pamiętać. Pozdrawiamy Was salutem pionierów kubańskich: Pioneros por el comunismo — seremos como el Che! (Pionierzy dla komunizmu — będziemy tacy jak Che!)".

Najważniejszym chyba punktem bardzo bogatego programu było spotkanie całej grupy z ministrem oświaty i wychowania Jerzym Kuberskim, zorganizowane z inicjatywy ministra w warszawskim Pałacu Młodzieży 25 sierpnia.

Między występami artystycznymi (m.in. bardzo ładny program zespołu instrumentalno-wokalnego „Brevis" z Pałacu Młodzieży) toczyły się rozmowy ministra z dziećmi i wychowawcami. Minister interesował się rodzinami dzieci, pytał o warunki nauki, przeprowadził nawet żartobliwy egzamin z liczenia po polsku i ze znajomości obiegowych polskich zdań. Egzamin wypadł na piątkę.

Rozmowy miały również charakter roboczy. Minister zaprosił do siebie na podwieczorek przy kawie studentów i nauczycieli, żeby móc swobodniej porozmawiać o sprawach tej ciekawej grupy uczących się i nauczających. Spotkanie zakończyło się zabawą taneczną, podczas której zawarto wiele serdecznych znajomości. **(bis)**

Zdjęcia: **Marek Szymański**

Najlepsze są te bezpośrednie spotkania.

Gdy po zakończonym krajowym finale V Międzynarodowego Wakacyjnego Turnieju Piłki Nożnej o puchar naszej redakcji wsiadłem wraz z Kazimierzem Górskim do redakcyjnego „Fiata" nie miałem wątpliwości co do tematu rozmowy, podczas oczekującej nad podróży do Warszawy. Okazja bowiem była zbyt rzadka i wyborna, by ją zmarnować.

Ruszyliśmy, przebijając się przez tłum owacyjnie żegnających Kazimierza Górskiego mieszkańców Rytla.

ROZMOWA W DRODZE

– Oby Pana powrót z Chorzowa do Warszawy po meczu z Holandią był równie triumfalny.

– Chciałbym bardzo, aby tak było. Ale...

– Nie wierzy Pan w sukces?

– Nie byłbym trenerem, gdybym nie wierzył. Ale pokonać Holendrów nie będzie łatwo. Przecież to druga drużyna ubiegłorocznych mistrzostw świata, świetnie znająca piłkarskie rzemiosło.

– Pokonaliśmy mistrzów świata – Anglików, czemu nie mielibyśmy rozprawić się z wicemistrzami? Tym bardziej, że przed mistrzostwami świata zremisowaliśmy z nimi 1:1 i to na dodatek na ich terenie.

– Co innego spotkanie towarzyskie, a co innego mecz o dużą stawkę, wtedy gra się zupełnie inaczej. Oczywiście, że nie dopuszczam myśli o przegranej, czy remisie. Myślę o zwycięstwie, bo tylko ono da nam szansę awansu do finału mistrzostw Europy. Bardzo starannie przygotowywaliśmy się do tego spotkania. Tournée po USA i Kanadzie, spotkania ligowe no i zgrupowanie w Kamieniu. Bernard Blaut – szef banku informacji, zebrał dostateczną ilość materiału filmowego. Ja też obserwowałem Holendrów w akcji. Każdy z naszych zawodników otrzyma szczegółową informację o przeciwniku. Wraz z Andrzejem Streylauem, Hubertem Kostką i Bernardem Blautem nakreślimy dokładne zadania naszym graczom.

– A kto pilnować będzie Johana Cruyffa?

– Jeszcze nie wiem, być może Ćmikiewicz, lub Maszczyk. Ale nie tylko Cruyff będzie groźny. Pozostali piłkarze też reprezentują najwyższą światową klasę. Nie zapominajmy o wszechstronności holenderskiej drużyny. Każdy z graczy gra w obronie i ataku. Są szalenie elastyczni w swych poczynaniach taktycznych, czyli inaczej mówiąc, stosują podobnie jak i my futbol totalny. Aby wygrać to spotkanie wszyscy będą musieli zagrać bardzo uważnie i na najwyższym poziomie.

– Czy skład, który Pan powołał sprosta temu zadaniu?

– Jest to najsilniejszy skład, na jaki nas stać w chwili obecnej. Wiem, że nie wszyscy są w formie jakiej bym oczekiwał. Ale wierzę, że wzniosą się w tym meczu na szczyt swych piłkarskich umiejętności. Zresztą skład drużyny niewiele odbiega od tego w jakim graliśmy podczas mistrzostw świata. Postawiłem na rutynę, na zawodników sprawdzonych, bowiem w tym meczu nie można eksperymentować.

– W jakim zestawieniu zagramy?

– W bramce jednak chyba Tomaszewski. Największy kłopot mam z linią obrony. Na pewno Żmuda, Szymanowski, Wawrowski i... chyba Ostafiński. Ale jeszcze mam do dyspozycji Bulzackiego i Polakowa. Może zdecyduję się na wariant z Ćmikiewiczem. Z drugą linią nie mam kłopotu, mając do dyspozycji Deynę, Maszczyka, Bulę, Kasperczaka i Ćmikiewicza. A atak to Lato, Szarmach i Gadocha. Nie wiem, czy nie skorzystam z Marksa i znajdującego się ostatnio w świetnej formie Domarskiego. Ostateczne decyzje zapadną jednak tuż przed meczem.

– A dlaczego nie powołał Pan Włodzimierza Lubańskiego? Czy nie będzie on brany w ogóle pod uwagę?

– Nie, skądże. Być może skorzystam z usług Włodka już w rewanżowym spotkaniu z Holendrami. Lubański dopiero niedawno rozpoczął treningi w Belgii. Mam tam przyjaciół, którzy na bieżąco informują mnie o jego formie. Zresztą umówiłem się z nim, że jak tylko będzie gotów do gry w reprezentacji da mi sam znać. Myślę nie tylko o Lubańskim. Biorę pod uwagę i innych zawodników. Muszę myśleć nie tylko o mistrzostwach Europy, przed nami olimpiada.

– No właśnie, bronić będziemy złotego medalu! Czy więc ewentualny awans do finału mistrzostw Europy nie będzie kolidować z przygotowaniami do turnieju olimpijskiego?

– Nie sądzę. I tak planuję dla kadry sparringowe mecze w okresie marzec – maj. Jeśli byśmy awansowali, pomogło by mi to w przygotowaniach. Tylko spotkania o dużą stawkę hartują i mobilizują zespół.

Nagle gwałtowne hamowanie przerywa naszą rozmowę. Zatrzymujemy się. Kontrola drogowa MO.

Gdy milicjant sprawdza dokumenty, nasz samochód zaczynają oblegać kibice. Rozpoznali trenera. Na palcach pokazują wynik chorzowskiego meczu twierdząc: Wygramy!!!

– Panie trenerze, kibice ufają Panu bezgranicznie...

– Cieszę się z tego, ale proszę nie zapominać o walorach rywali. Przecież w Holandii też robi się wszystko, by to spotkanie wygrać. Do finału awansuje tylko jeden zespół.

– Przepraszam, ale niech Pan powie szczerze, czy nie zanudzam Pana tymi ciągłymi pytaniami?

– Nie, skądże. Takie rozmowy są mi potrzebne. Każda z nich może nasunąć jakiś interesujący wniosek.

– Skoro tak, to niech Pan zdradzi, jaką taktykę obierze Pan na to spotkanie?

– Nie mam specjalnej taktyki. Atakujących wspierać muszą boczni obrońcy. Więcej piłek trzeba nagrywać do drugiej linii, z której muszą strzelać. Liczę na naszą najskuteczniejszą broń, szybki atak i na to, że wreszcie reprezentanci przypomną sobie słynne krzyżowe podania. Jeżeli to zostanie zrealizowane to...

– Panie Kazimierzu nieustannie podejmuje Pan ryzyko walki. A czy nie myślał Pan, by odejść w pełni chwały?

– To byłoby zbyt proste. Jestem graczem. I ryzyka się nie boję. Nie byłbym zresztą sportowcem, gdybym go nie podejmował. Z tego powodu nigdy nie myślałem o rozstaniu się z kadrą. Jedyny powód, dla którego zastanawiam się czy nie zrezygnować to nieustanny brak czasu dla siebie i rodziny. A poza tym przecież nie będę wieczny. Powoli zbliżam się do takiego wieku, w którym trzeba będzie myśleć o przekazaniu pałeczki komuś innemu.

– Mówi Pan, że nie boi się Pan ryzykować. Czemu więc nie próbuje Pan wprowadzać do zespołu nowych zawodników w ważnych meczach?

– Jak to, staram się to czynić cały czas! Nie mogę pozwolić sobie na ten sam błąd, który popełnili Włosi. Systematycznie wprowadzam do gry nowych zawodników. Ale nim okrzepną i zaaklimatyzują się w zespole, musi upłynąć trochę czasu. Na swej liście mam nazwiska: Pawłowskiego, Kupcewicza, Sybisa i nawet – może to wiele osób zdziwić – Szołtysika. Nikomu nie zamykam drogi do reprezentacji.

W oddali zamigotały światła stolicy.

– Zaraz będziemy w Warszawie, a ja mam jeszcze tyle pytań.

– Nic straconego, za rok kolejny finał waszej imprezy. Spotkamy się i może znów będziemy razem wracać. Wtedy dokończymy naszą rozmowę w drodze.

– Cóż było robić, pożegnałem się z Kazimierzem Górskim. W chwili gdy ściskałem jego dłoń, życzyłem mu tego, czego życzy mu dziś cała sportowa Polska!

Pan Kazimierz uśmiechnął się...

Samochodem wraz z KAZIMIERZEM GÓRSKIM jechał DARIUSZ SZPAKOWSKI.

Zdjęcia: J. Łopuszyński
J. Czerniak
M. Szymański

Przedstawiamy przeciwników reprezentacji Polski – ZESPÓŁ HOLANDII

Przez długi okres czasu Holandia nie miała mocnej i liczącej się w świecie piłkarskiej reprezentacji. Do niedawna Holendrzy nie święcili triumfów w mistrzostwach świata i Europy.

Złota era holenderskiej piłki rozpoczęła się dopiero w roku 1970, i to za sprawą zespołów klubowych. Najpierw Feynoord Rotterdam a później trzykrotnie Ajax Amsterdam zdobył Klubowy Puchar Europy. W owym czasie w Holandii pojawiło się wielu świetnych piłkarzy na czele z Johanem Cruyffem.

Na bazie tych klubów zbudowano reprezentacyjny zespół, który w roku 1974 podczas X Mistrzostw Świata zdobył tytuł wicemistrzów.

Zespół Kraju Tulipanów jest uważany za najbardziej nowocześnie grającą reprezentację na świecie, prekursorów nowego piłkarskiego stylu – gry totalnej, a więc wszyscy atakują i wszyscy się bronią, zmieniając przy tym pozycję.

Do wyróżniających się zawodników oprócz Cruyffa należą: Neeskens, Krol, Kaizer, Rep, Hann i Van Hanegem.

Po wakacyjnej przerwie 32 zespoły Starego Kontynentu stanęły ponownie do gier eliminacyjnych w V Piłkarskich Mistrzostwach Europy. W ośmiu grupach toczy się zacięta rywalizacja o zajęcie pierwszego miejsca – premiowanego awansem do finału. Obecna sytuacja przedstawia się następująco:

GRUPA I	Punkty	Bramki
1. Anglia	7:1	9–0
2. CSRS	4:2	9–3
3. Portugalia	3:3	2–5
4. Cypr	0:8	0–12

GRUPA II		
1. Walia	8:2	13–4
2. Austria	5:1	4–2
3. Węgry	3:5	5–6
4. Luksemburg	0:8	4–14

GRUPA III		
1. Jugosławia	6:2	8–4
2. Irlandia Płn.	4:2	4–2
3. Szwecja	2:4	4–5
4. Norwegia	2:6	5–10

GRUPA IV		
1. Hiszpania	6:2	6–4
2. Rumunia	5:3	6–4
3. Szkocja	2:4	3–4
4. Dania	1:5	3–8

GRUPA V		
1. POLSKA	5:1	5–1
2. HOLANDIA	4:0	6–2
3. WŁOCHY	3:3	2–3
4. FINLANDIA	0:8	2–9

Nie uwzględniono pojedynku Holandia – Finlandia.

GRUPA VI		
1. Eire	5:3	7–3
2. ZSRR	4:2	5–4
3. Turcja	4:4	4–6
4. Szwajcaria	3:5	4–5

GRUPA VII		
1. Belgia	5:1	4–1
2. Islandia	4:4	3–4
3. NRD	3:5	4–5
4. Francja	2:4	3–4

GRUPA VIII		
1. Grecja	6:4	11–8
2. Bułgaria	4:4	10–6
3. RFN	4:2	6–3
4. Malta	2:6	2–10

Za zwycięstwo zespół zdobywa 2 pkt., za remis 1 pkt., za porażkę 0 pkt.

REDAKCYJNA POCZTA

Czy to prawda?

Interesuję się życiem Indian obu Ameryk. Słyszałem, że za odpowiednią opłatą można u was nabyć mapy z dawnym lub dzisiejszym rozmieszczeniem plemion indiańskich. Jeśli to prawda, to ja chętnie takie mapy bym kupił.

Mirosław K., Nisko

Od redakcji: To nieprawda! Redakcja w ogóle niczego nie sprzedaje. Nawet rozprowadzeniem i sprzedażą naszej gazety zajmuje się „Ruch".

Odludek?

Dotychczas miałam wielu znajomych i bardzo lubiłam ich towarzystwo. Gdy byłam chora, a nawet tylko w niedzielę nie mogłam się doczekać, kiedy pójdę do szkoły, aby spotkać się z rówieśnikami. Tego lata jednak wszystko się zmieniło, pokochałam samotność. Unikam znajomych, nie nawiązuję nowych kontaktów, bywa, że i obecność przyjaciółki – denerwuje mnie. Teraz muszę mieszkać w internacie, gdyż jestem uczennicą licealnej. Nie wiem jak sobie poradzę, aby nie zyskać opinii odludka?

Małgośka

Dobrobyt to nie wszystko

Jeszcze nigdy nie byłam na koloniach i obozie harcerskim. Mimo namowy rodziny sytuacja się nie zmienia, bo moi rodzice po prostu się o mnie boją! Ubierają mnie elegancko, wiem, że mi wszyscy zazdroszczą, ale mnie się to już znudziło. Rodzice nie chcą słyszeć o trykotowej bluzce z Donaldem nawet za moje własne oszczędności. Prosiłam, aby kupili mi rower. Odpowiedzieli – jest samochód, nie potrzebujesz więc roweru. Ale samochodem oni nie jeżdżą nigdzie! Cały czas stoi w garażu, a jak się zakurzy, to wypchną, umyją i wstawią z powrotem. Nie mam z nimi wspólnego języka. Dobrobyt to nie wszystko...

Aga, 15 lat

Mirosław Kujawa, 05-905 Leoniów, woj. Skierniewice czeka na listy od koleżanek i kolegów – szuka prawdziwych przyjaciół.

Hej, przewodniczący samorządów!

Mam 14 lat i spory kłopot. Zostałam wybrana przewodniczącą samorządu szkolnego. Chciałabym, aby okres mojej kadencji był miło wspominany przez kolegów. Mam kilka własnych pomysłów różnych akcji, lecz uważam, że to za mało. Dlatego też za pośrednictwem „Świata Młodych" chciałabym prosić koleżanki i kolegów – przewodniczących samorządów oraz wszystkich, którzy mają pomysły ciekawych akcji, możliwych do przeprowadzenia w szkole i w klasach – napiszcie do mnie! Podzielcie się swoim doświadczeniem!

Ewa Kraśnicka,
ul. Manifestu Lipcowego 4/13
19-100 Mońki

Od redakcji: Poza listami skierowanymi bezpośrednio do Ewy – „zielonej" przewodniczącej (to ona sama tak się nazwała!) chętnie zamieścilibyśmy w gazecie wypowiedzi i propozycje pracy różnych samorządów szkolnych. Temat na czasie – na pewno skorzystaliby i inni nasi czytelnicy.

Dobry samorząd uczniowski – ważna rzecz! Piszcie więc nie tylko do Ewy, ale i do „Świata Młodych". Na kopercie podajcie hasło „samorząd".

PŁOMYKÓWKA

SOWA USZATA

PÓJDŹKA

PUSZCZYK

PUCHACZ

NIE TYLKO DLA PTAKOLUBÓW

LATAJĄCE KOTY

„Przedzierając się przez gęstwinę, zarośla i błota z trudem przysparzałim kroku. Wszystko dokoła milczało, tylko głos sowy rdzawej (puszczyka), głosowi śmiejącego się człowieka podobny, przerywał ciszę. Zaledwie pierwszy jej głos usłyszał, wieśniak stanął przerażony. Obracając się do mnie, rzekł cichym i drżącym głosem:

– Słyszycie? To czort śmieje się, że nas obłąkał" – wspomina Tomasz Święcki w „OPISIE STAROŻYTNEJ POLSKI".

Lud wierzył bowiem, że diabeł przybierając postać puszczyka zamieszkiwał w starych wierzbach. Oczywiście, żeby się nie narazić sile nieczystej, nikt nie wycinał wypróchniałego sędziwego drzewa. Sowy były więc bezpieczne.

Nietypowy dla ptaków wygląd, nocny tryb życia, niesamowite głosy, przedziwne miny i dziwaczne pozy, które przybierają sowy, spowodowały, że przypisywano im nadprzyrodzone właściwości. A jakie są naprawdę?

DLACZEGO NOCĄ...

...wyruszają na łowy? Otóż wtedy opuszczają swoje kryjówki ich przyszłe ofiary – myszy i norniki. Śpią natomiast konkurenci: dzienne ptaki drapieżne.

Dziwny wygląd wiąże się właśnie z nocnym trybem życia (sowa jarzębata, zamieszkująca okolice podbiegunowe i polująca za dnia, upodobniła się do sokoła: ma długi ogon, tak samo ubarwione pióra, lata jak on szybko).

Pionowa niemal sylwetka, duża głowa i „twarz" zwana szlarą, niespotykane u innych ptaków wielkie „myślące" oczy uczyniły z niej symbol mądrości. Sowa była ptakiem bogini Ateny. Nie wykazuje jednak większej inteligencji niż inne ptaki. Jej oczy są przystosowane do postrzegania przy słabym oświetleniu. Stąd ich rozmiary – obiektyw o dużej sile światła ma także dużą średnicę. Sowa nie widzi jednak w zupełnej ciemności.

Obfite upierzenie i specjalna budowa piór pozwalają jej bezszelestnie przecinać powietrze. Cichy lot umożliwia nasłuchiwanie odgłosów zwierząt żerujących pod osłoną ciemności. Sowa potrafi wykryć mysz pod warstwą śniegu lub ściółki!

Starannie przygotowuje się ptak do ataku na swoją przyszłą zdobycz. Umiejscowienie oczu blisko siebie z przodu głowy (nie zaś po bokach, jak u innych ptaków) pozwala jej oglądać zwierzę jednocześnie z dwóch punktów. Ponieważ jednak kąt widzenia jest niewielki, a sowa to dalekowidz, więc długo kręci głową odchylając ją do tyłu, by dobrze wymierzyć do celu.

Dnie spędzają sowy w ukryciu, lecz wcale nie dlatego, że są wtedy „ślepe". Widzą za dnia lepiej niż inne ptaki, ale... sowa, która pokaże się w biały dzień staje się często obiektem ataku innych ptaków. Wrony, sroki posuwają się do tego, że wyskubują jej pióra, a drapieżniki rozprawiają się z nią krwawo i ostatecznie. Dlatego też myśliwi używali puchacza podczas polowań jako wabika wykorzystując w sobie właściwy sposób dziwną „nienawiść" ptactwa dziennego do sów.

Sowy próbują się bronić przed atakiem stroszące pióra i groźnie klapiąc dziobem. Są jednak prawie bezbronne. Jedynie puchacz (niewiele ustępujący wielkością orłowi) podejmuje walkę. Jego łupem stają się nawet młode sarny. Puszczyk także potrafi je przestraszyć. W pobliżu gniazda skacze wrogowi z pazurami do oczu.

Najskuteczniejszą bronią sów jest jednak ochronne upierzenie. Na przykład sowa uszata zamieszkująca lasy, zaniepokojona nieruchomieje, wydłuża się, przypominając do złudzenia gałąź. Nastroszone pęczki piór na głowie (fałszywe „uszy") upodabniają się do sęków. Inna (bardzo już rzadka) sowa mszarna wygląda jak stary pień porośnięty szarymi porostami.

DOMEK DLA SOWY

Wszystkie sowy objęte są u nas ochroną i nie bez racji. Każda z nich w ciągu lata tępi tyle myszy, że pozwala ocalić przed ich zakusami całą tonę zboża! A jednak tych pożytecznych „latających kotów" jest coraz mniej. Nie mają gdzie się zagnieździć.

Sowy, same nie budują gniazd. Wykorzystują najchętniej dziuple w wypróchniałych pniach, a o nie bardzo trudno, bo takie „bezużyteczne" drzewa po prostu się wycina. Możemy im jednak pomóc.

Dla sowy pójdźki, która lubi zamieszkiwać osiedla, budujemy domek o podstawie 15 cm x 17 cm, wysoki na 40 – 50 cm. Otwór wlotowy winien mieć średnicę 6 – 8 cm. Skrzynkę umieszczamy na drzewie co najmniej 5 m nad ziemią. Na tejże wysokości na drzewach, w sadzie, parku lub na skraju lasu chętnie osiedli się puszczyk. Potrzebuje on jednak większej siedziby (boki podstawy domku o wymiarach 30 x 35 cm. Jego wysokość 50 – 70 cm, średnica otworu wlotowego 15 – 20 cm). W takim samym domku zagnieździ się chętnie sowa uszata, tyle że umieścić go trzeba z dala od zabudowań: na skraju lasu, w zadrzewieniach wśródpolnych.

Skrzynkę drewnianą może zastąpić z powodzeniem beczułka lub plastykowy pojemnik, oczywiście dokładnie wymyty, o średnicy 25 – 35 cm i otworze wlotowym o średnicy 15 – 20 cm wybitym w jednym z denek.

I wreszcie coś dla „ducha". Sowa płomykówka, która lubi się gnieździć w ruinach, na strychach, poddaszach straszy nocą śmiałków, stękaniem, smutnym westchnieniem. To prawdziwa bohaterka opowieści o duchach starych zamków. A tak naprawdę jest zajadłą tępicielką szczurów. Wbudujcie dla niej w okienko strychu duże pudło o szerokości 70 cm wysokie na 40 cm i głębokie na 50 cm. Można je również umieścić pod okapem dachu. Musi to być jednak miejsce niedostępne dla kotów! Pudło nie może się chybotać, to samo dotyczy wszystkich sowich domków!

Każdą z przyszłych siedzib waszych sów wymoście trocinami, sieczką, próchnem, ewentualnie słomą.

Domki możecie zrobić sami, ale o ich zainstalowanie poproście dorosłych: ojca, starszego brata, drużynowego. Miejsce w koronie drzewa winno być zacienione, zaciszne, otwór wlotowy, jeśli to tylko możliwe, skierowany na północ.

Sowy gnieżdżą się w jednym miejscu przez wiele lat i już niedługo zaczną szukać przytulnych siedzib na zimę.

MARIA WRÓBLEWSKA

POMYSŁ NIE TYLKO NA LATO

BAL GAŁGANIARZY

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

POPRZEDZIŁY GO wielodniowe przygotowania, wreszcie nadszedł upragniony dzień. Na hasło wodzireja: „Poloneza czas zacząć" ruszyły środkiem stanicy pary przebierańców. Były pląsy, konkursy, gry, zabawy, oczywiście tańce... Bawiono się również na Balu Narodów. Była to zabawa połączona z quizem nt. wiadomości o pionierach z sąsiednich krajów. Po odtańczeniu „kazaczoka" odbył się quiz o pionierach radzieckich, po odtańczeniu czardasza – quiz o pionierach węgierskich, potem była poleczka, a po niej quiz o pionierach czechosłowackich, a po poleczce taniec regionalny „Tańcz Mario" (nauczyli go wszystkich przebywający gościnnie w stanicy pionierzy z NRD), po którym nastąpił quiz dotyczący działalności pionierów z tego kraju. Było bardzo wesoło, przyjemnie, bawiono się niemal do bladego świtu.

A teraz pewna propozycja. Może zorganizujecie podobny bal u siebie?! Mogłaby to być np. pierwsza w nowym roku szkolnym zbiórka waszej drużyny, albo szczepu. Co wy na to?! Pomysł jest, mamy nadzieję, że w jego zrealizowaniu pomogą wam zdjęcia wykonane w katowickiej stanicy NAL. **(dak)**

Zdjęcia: **M. Żbikowski**

GWIAZDOZBIÓR

Dziś na życzenie czytelników Porucznik Columbo *czyli* PETER FALK

NIESTETY, nie udało nam się jak dotąd, spotkać się z tym arcysympatycznym człowiekiem oko w oko, a co za tym idzie nie miał możliwości udzielenia nam wywiadu. A szkoda, tak chciałoby się odwiedzić pana Falka, ponoć wielkiego domatora, w jego wiejskiej posiadłości zbudowanej w stylu Tudorów w Beverly Hills w Kalifornii, pogawędzić o popularności Columbo w towarzystwie jego żony, pani Alyce Mayo i dwóch córeczek: czteroletniej Katherine i ośmioletniej Jackie.

W rodzinie jak w rodzinie, nikt nie jest prorokiem i Peter Falk nie jest Columbo. Jackie oczywiście ogląda serial, który w Ameryce cieszy się powodzeniem już od czterech lat i nawet jej się bardzo podoba.

— Pewnego dnia przyszedłem do domu w płaszczu porucznika Columbo. Jackie przyjrzała mi się i spytała: „Tato, czy to Columba? Powiedziałem, że tak, a ona na to: „To dlaczego tak źle na tobie leży?" — opowiadał Peter Falk amerykańskiej dziennikarce.

No, i w tym właśnie sztuka, że płaszcz źle leży. Ten nieodzowny rekwizyt, Columbo nie rozstaje się z nim prawie nigdy, podkreśla jego pozorną nieporadność, niedbałość, roztargnienie, jakby mu zawadzał jak rzeczy, jak ludzie, wśród których porusza się dziwnie nieprzystosowany, nie pasujący. Niby roztargniony, nieuważny a jednak najmądrzejszym, najsprytniejszym daje w końcu pstryczka w nos. I wówczas twarz jego nie rozjaśnia triumf zwycięstwa a przeciwnie. Porucznik jest zafrasowany, zmieszany, jakby przepraszał, że przypadkiem trafił na właściwy ślad i tak mu przykro, że odkrył czyjąś brudną sprawkę. I to jest u niego sympatyczne i to się wszystkim podoba. Bo Columbo jest człowiekiem mądrym, dobrym, życzliwym ludziom. Ciekawy jest świata, ale wśród postępu, wykwitu cywilizacji i techniki czuje się jak prostaczek. Taki jest Columbo, a Falk twierdzi:

— Ludziom niezbędne są marzenia — dajcie im tylko siłę, by mogli wyrwać się z banalności swego otoczenia.

Falk tę siłę w sobie znalazł i z miasta Ossing w stanie Nowy Jork, gdzie spędził dzieciństwo pracując w czasie wakacji u ojca w sklepie z odzieżą, trafił do studio w Hollywood.

— Gdy dorastałem, ojciec kiedyś mi powiedział: „Nigdy nie marz o tym, czego byś chciał, bo to się może spełnić". Ileż miał racji — stwierdza dziś aktor.

Jednak Falk nie od razu wiedział, czego chce. Nim zaczął grać w podrzędnych teatrzykach, studiował w Szkole Badań Społecznych w Nowym Jorku, potem w Syracuse, był inspektorem podatkowym, ekspertem od wydajności, służył w marynarce handlowej — słowem z tym spełnieniem marzeń nie było tak prosto i łatwo. Zaczynał od ról charakterystycznych...

— Ze względu na moje szklane oko, prawdziwe straciłem w wyniku złośliwego guza, gdy miałem trzy lata — zwierza się dziennikarzom.

Brak oka u aktora, wydawałoby się sprawa stracona — żegnaj sceno. Tym bardziej że w tym zawodzie nikt się z nikim nie patyczkuje. Sam szef amerykańskiej wytwórni filmowej Columbia okazał się tak okrutny, że...

— Ludzie zawsze wzdrygają się, kiedy o tym opowiadam. Harry powiedział: „Proszę spojrzeć w prawo. A teraz w lewo". Był szybki, choć niezbyt delikatny, i wywalił prosto z mostu. „Dlaczego miałbym angażować aktora z jednym okiem, jak mogę znaleźć takiego, co ma oba?"

Ile trzeba mieć siły, wiary we własne możliwości, żeby się nie załamać, nie cofnąć z drogi. A Falk pierwszego Oskara zdobył za rolę gangstera w filmie „Murder, Inc", w 1962 roku dostał nagrodę Emmy za rolę kierowcy w sztuce telewizyjnej „Price of Tomatoes" („Cena pomidorów") i w 1972 tę samą nagrodę za Columbo. Teraz przepowiadają mu nowy sukces w filmie Johna Cassavetesa „A Woman under the Influence" („Kobieta ulegająca wpływom"), gdzie gra rolę pełnego dobrych chęci, choć niezbyt mądrego robotnika, męża kobiety psychicznie chorej.

Dziś Peter Falk jest ceniony w amerykańskiej telewizji wysoko, jest popularny nie tylko w swoim kraju, ale i na świecie, zarabia dużo pieniędzy, osiągnął sukces. Mówi się o nim, że „ostatnio zyskuje szansę wejścia do światowej czołówki". W takiej sytuacji prasa rozpisuje się nie tylko na temat jego aktorstwa, ale i osobistych upodobań. I tak wiadomo, że nie jest zbyt towarzyski, a w wolnych chwilach maluje i chętnie gra w bilarda.

— Ostatnio grywam mniej — mówi żartobliwie. **— Doszedłem do wniosku, że się starzeję i mógłbym pewnego dnia z przerażeniem stwierdzić, że spędziłem nad kulami bilardowymi 75 000 godzin mojego życia.**

Takie zapomnienie się zapewne mu nie grozi, bowiem ludzie, którzy potrafią osiągnąć sukces, cenią swój czas.

Oprac. B.T

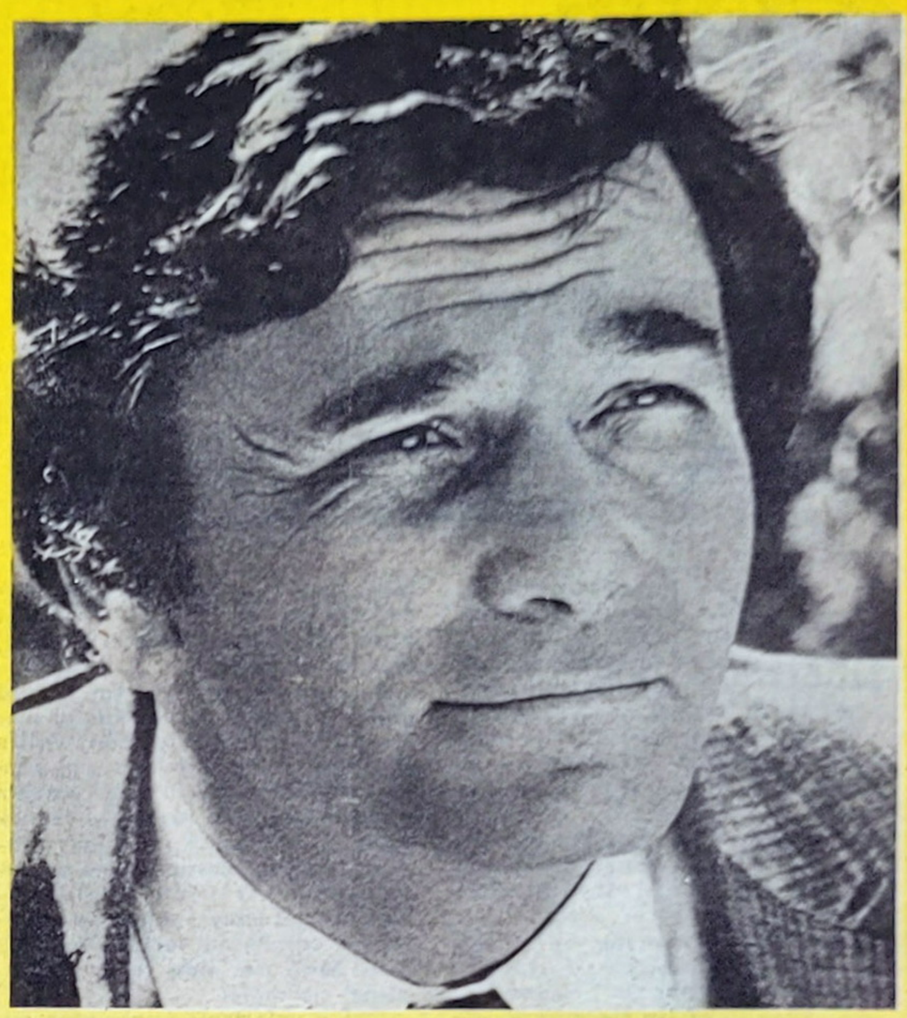

W niedzielę spacerowaliśmy sobie z Tadeuszem, kiedy nagle wpadł nam do głowy pomysł — idziemy do kina. Seans „Synów szeryfa" rozpoczynał się za 20 minut, pod kinem byliśmy w ciągu miut 10, ale w kasie wisiała kartka: „Wszystkie bilety wyprzedane".

Stanęliśmy pod tą kasą smutni i wybitnie zniechęceni do życia. Pomysł z kinem był nagły, ale bardzo... głęboki — straszną mieliśmy na ten film ochotę. A tu — figa z makiem! Komu by nie było smutno?! Patrzysz jak ludzie wchodzą, szukają swoich miejsc, siadają...

W pewnym momencie — do rozpoczęcia seansu została już chyba tylko minuta — podszedł do nas wysoki chłopak w skórzanej kurtce i proponuje Tadkowi 2 bilety. We mnie aż wszystko z radości podskoczyło — jednak pójdziemy, jednak obejrzymy! Niestety, chłopak chciał za bilety podwójną cenę i Tadek podziękował, że nie, że nie chce. A we mnie się znowu wszystko załamało, już tak blisko była szansa wejścia do kina i znowu figa!

Chłopak na Tadka odmowę uśmiechnął się ironicznie i zabiera się do odejścia. Razem z biletami! To ja wtedy mówię: „Kupmy, Tadek, te bilety, ja mam pieniądze, dostałam od taty tygodniówkę!". Chłopak uśmiecha się, już nie ironicznie, wyciąga bilety w moją stronę, ja w jego stronę banknot, a tu Tadek jak mnie nie szarpnie za rękę, jak nie pociągnie za sobą z całej siły. „Zwariowałaś, od konia będziesz kupowała?!" — krzyczy.

Zezłościłam się na niego straszliwie. Bo niby co?! Że od konia, że dwa razy drożej?! Jego forsa czy moja? Nie było biletów w kasie, a ochotę na ten film mieliśmy obydwoje ogromną, akurat i pieniądze też mieliśmy. Cóż w tym złego, że w takiej sytuacji kupię bilety od konia?!

A Tadek swoje. Że moja zachcianka nie jest ważna, że nie jest ważne czyje to pieniądze, koń jest koniem i uczciwy człowiek kupować od niego nie powinien, bo pomaga w ten sposób w przestępstwie.

W jakim przestępstwie ja niby pomagam?! Czy to ja sprzedaję bilety dwa razy drożej?! Co ten Tadek?! A film nam przeszedł koło nosa! Rozstaliśmy się w gniewie.

To było przedwczoraj. Wczoraj też byłam zła. Jak sobie przypomniałam jaką to okazję przez Tadka głupotę przepuściliśmy, aż zieleniałam. Dzisiaj... Dzisiaj coś mi zaczyna świtać w głowie. I złość mi przechodzi. I zastanawiam się, czy to nie ja byłam tą, która ukazała głębię swej głupoty?... Chyba... chyba było właśnie tak. Niestety!

MAGDA

Obóz był nad jeziorem. Trwał dni kilkanaście. Oto jeden z tych dni...

★

JUŻ TRZECIA z kolei melodia przebrzmiała, a w namiocie „Ziemian" panowała nadal idealna cisza. Z sąsiednich (namiotów) dobiegały już od dawna odgłosy rannego krzątania, gdy do „Ziemian" wszedł obożny i głosem pełnym rozpaczy zawołał:

— Ludzie, wstawajcie! Pół godziny minęło od pobudki!

Pierwszy ocknął się KAMAL i zaspanym wzrokiem powiódł po śpiących kolegach. Obożny rozbawiony jego bezradnością jeszcze raz odgwizdał pobudkę. KAMAL przeciągnął się, ziewnął i... znowu nakrył kołdrą. Ale wtedy obudził się już ANUL, który nie dał mu ponownie zasnąć. Nagłym ruchem zdarł z niego pościel drąc przy tym — przez nieuwagę — podkoszulkę. Rozeźlony tą haniebną porażką KAMAL sięgnął po trampek i celnie mierząc — mimo zaspania! — rzucił nim w twarz JOSEPHA. Ten z kolei, przecierając oczy niechcący położył swoją blisko 20-kilowa nogę na BARBARA, który przystosowany już do tego rodzaju starć zachował zimną krew i grzecznym, spokojnym głosem poprosił o zdjęcie tej nogi. Gdy już piątka „Ziemian" była obudzona przyszła kolej i na resztę. Każdy z wcześniej obudzonych „wziął na siebie" jednego z pozostałych. Używając tortur takich jak: obgryzanie paznokci, ciągnięcie za włosy, nosy i uszy, stosowanie „syfonów" zwykłych i stereo itp. obudzono pozostałych. Etap pierwszy obozowego dnia „Ziemian" został zakończony.

WSPOMNIENIA — nie najlepsze — zastępowego „ZIEMIAN"

Etap drugi rozpoczął się od założenia obuwia i chwycenia za ręczniki oraz przybory do mycia. Następnie z tętentem godnym tabunu koni pobiegli „Ziemianie" za tyłami komendy. W połowie dystansu obożny — jak na harcerzy przystało — zrobił gimnastykę, która obejmowała szereg ćwiczeń z zakresu budzenia śpiochów i dopingowania do życia leniwych. Po mękach tych, popędziliśmy dalej w kierunku przystani. Aby się umyć. Hasło zastępu „Ziemian" brzmiało: CZĘSTE MYCIE SKRACA ŻYCIE! W pełni było ono stosowane.

Etap trzeci polegał na powrocie — na skróty — do zabrudzonego obozowymi trudami namiotu. Zaczęło się porządkowanie polegające na: a) zakrywaniu kocami brudnych prześcieradeł, b) zasypywaniu igliwiem papierków i innych mniej lub więcej ciekawych dekoracji, c) przykrywaniu ręcznikami — mokrymi! — nieuporządkowanych półek, d) wrzucaniu pod łóżka brudnych butów i sztywnych skarpetek.

Na placu apelowym zebrana już była cała drużyna, gdy i z naszego namiotu zaczęła się gramolić odziana w niepozapinane mundurki wiara. Gdy ogłoszono wyniki punktacji za porządek wszyscy spojrzeli na „Ziemian" z podziwem. Nic dziwnego, już po raz któryś z rzędu uzyskali na 5 możliwych całe zero! To jest osiągnięcie, nie?!

Kolejny etap obozowego życia „Ziemian" zwie się śniadaniem. Na śniadaniu „Ziemianie" starają się być pierwsi. Nie tylko zresztą na śniadaniu, na każdym posiłku. Czy kogoś to dziwi?

Po śniadaniu zazwyczaj odbywają się zajęcia programowe takie jak np. szkolenie, jako że obóz był obozem szkoleniowym. Zastęp „Ziemian" jako wymigiwanie się od takich zajęć wypraktykował i poleca wszystkim zainteresowanym: a) pójście do kuchni w celach bliżej nieokreślonych, b) wycieczkę do lasu parami, c) leżenie w namiocie, d) pójście na dłużej do latryny, e) improwizowanie choroby — przoduje w tym SENIOR, f) improwizowanie nauki i pracy, np. powtórka z historii czy okopywanie namiotu.

Po zajęciach programowych jest kąpiel. Do kąpieli „Ziemian" nikt ani razu nie musiał namawiać. Ani do obiadu, który po niej następował. Kolejno obozowy program dnia zawierał tzw. ciszę poobiednią. Cisza poobiednia w namiocie „Ziemian" przerywana jest tzw. przerywnikami muzycznymi jak np. dzikie piski, ryki przypominające swym tonem zdychające bawoły oraz różnego rodzaju jęki. Na szczęście cisza poobiednia nie trwa długo. Po jej zakończeniu zastęp z namiotu pierwszego — „Ziemianie" obozują w namiocie drugim — idzie zazwyczaj prać skarpetki. „Ziemianie" nie piorą, najmują sobie w tym celu dziewczęta, których wrodzona uczynność i harcerska chęć niesienia pomocy bliźnim nie pozwala odmówić takiego drobiazgu. W tym to czasie „Ziemianie" robią rzeczy różne. Najczęściej myszkują po obozie w poszukiwaniu słodyczy i jagód. Po podwieczorku, z namiotu „Ziemian" wybiega ANUL poganiając kolegów do szybszego wybiegnięcia na boisko i zajęcia go tylko dla siebie. To jest pewne, „Ziemianie" grać w piłkę i lubią, i umieją. Opanowali również po mistrzowsku i inne sporty. Szczególnie palmę pierwszeństwa przyznać im należy bez nijakich dyskusji w takich dyscyplinach jak: plucie i łapanie na odległość, biegi do latryny, uniki od wszelkich prac na obozie.

Po kolacji zbliża się ostatni etap obozowego dnia — ognisko. Tutaj też „Ziemianie" wiodą prym, mają wśród siebie kilku niezłych śpiewaków i tancerzy, a kabaret „Dno" — w ich wykonaniu — cieszy się 100-procentową frekwencją.

Po ogłoszeniu ciszy nocnej odbywają się u „Ziemian" próby tego kabaretu. Szczypanie, plucie, wykręcanie sobie nóg, opowiadanie świńskich dowcipów. Potem im się nudzi, zasypiają. Aż do kolejnego obozowego dnia, gdy trębacz odegra 3 melodie i do namiotu wpadnie obożny wołając:

— Ludzie, wstawajcie!

Zastępowy „Ziemian"

Od redakcji. Wspomnienia są autentyczne, a imię, nazwisko i adres autora doskonale redakcji znane. Postanowiliśmy ich jednak nie wyjawiać. Co komu po tym?! Wszyscy „Ziemianie podobni" i tak się na tym wizerunku rozpoznają.

REPORTER ŚWIATA MŁODYCH

Spotkanie w morzu

Korzystając z pięknej pogody, wybrałem się na nadmorską plażę. I w dziwnych nieco okolicznościach, bo podczas kąpieli w morzu, poznałem pana BOGUMIŁA SOJECKIEGO, który pomimo swoich 70 lat wygląda bardzo młodo i — co ciekawe — doskonale pływa! Opowiedział mi historię swojego życia, która z pewnością jest bardzo interesująca.

Pan Bogumił okres II wojny światowej przeżył w kilku obozach. Był zmuszany do takich prac, przy których ginęli nieomal wszyscy więźniowie. On, jako człowiek bardzo wytrzymały i wysportowany (przed wojną uprawiał żeglarstwo) przeżył jednak ten straszny koszmar. Świadectwem jego przeszłości jest choćby wytatuowany na ręce numer obozowy.

Bardzo podziwiam energię i wytrzymałość pana Bogumiła, który — jak mi mówił — kilka lat temu przewędrował pieszo całą Polskę z północy na południe!

W tym dniu wróciłem z plaży nie tylko opalony i wykąpany, ale również bogatszy o jeszcze jedną ciekawą znajomość!

BOGUSŁAW BARAŃSKI
Rumia

Jak mieć życie aktywne

Niedawno spotkałem pana Konopczyńskiego, mieszkańca, leżącego blisko mojej wsi, Bolimowa. Zajmuje się on ceramiką ozdobną. Wyrabia bardzo piękne donice, dzbanki i inne naczynia ozdobne. Jego wyroby są znane nie tylko w Polsce, ale także w innych krajach.

Kiedy się przypatrywałem jego pracy, wydawała mi się b. prosta. Gdy jednak p. Konopczyński pozwolił mi uformować dzbanek, mimo mego wysiłku, wyszedł on bardzo niezgrabny.

Pan Konopczyński umie tak ciekawie opowiadać, że można go słuchać godzinami.

Uderzyła mnie w czasie tego spotkania pogoda ducha i stosunek, z jakim mój nowy znajomy odnosi się do ludzi.

Pan Konopczyński bardzo wiele czasu poświęca sprawom swojej osady. Wiele inwestycji powstało z jego inicjatywy. To dobry przykład na aktywne życie.

GRZEGORZ KOŁOSOWSKI
Joachimów

Jak zostać astronomem? — pytacie mnie dość często w swoich listach. „Jestem uczniem ósmej klasy. Interesuję się astronomią i w przyszłości chciałbym zostać astronomem. Nie wiem tylko, jaką szkołę trzeba ukończyć, aby osiągnąć ten cel...” — pyta Adam Czarnota z Częstochowy. Z podobnym pytaniem zwrócił się także Bogdan Tarnawski z Rzeszowa i wielu innych czytelników TOMIKA. Odpowiadam więc wszystkim zainteresowanym: wydziały astronomii znajdują się wyłącznie na uniwersytetach, m. in. na warszawskim, toruńskim, krakowskim. Aby więc dostać się na astronomię, trzeba najpierw skończyć liceum ogólnokształcące a następnie zdać egzamin wstępny z matematyki, fizyki i języka obcego.

Prezes TOMIKA
St. BOROWIECKI

Znaczki TOMIKA otrzymują:

Stanisław Gałan, Dąbrowica 82, 23—400 Biłgoraj; **Remigiusz Biś**, ul. Żymierskiego 7/4, 56—120 Brzeg Dolny; **Janusz Zaparty**, ul. Zdrowia 21, 62—410 Zagorów; **Paweł Janicki**, Marcjanów, 62—705 Skarżyn; **Stanisław Matuszczyk**, Malenowice PGR, 49—140 Lambinowice; **Elżbieta Karaniewicz**, ul. Bohaterów Stalingradu 8/7, 64—920 Piła; **Marek Lubowiecki**, ul. 22 Lipca 8 m. 6, 84—200 Wejherowo; **Małgorzata Dopierała**, ul. Żeromskiego 10, 88—300 Mogilno; **Artur Prędecki**, ul. Młyńska 6/31, 31—469 Kraków; **Dariusz Bogdanowicz**, ul. Piastowska 96c/13, 80—352 Gdańsk-Oliwa; **Piotr Jeszke**, Zielonka 11/3, 59—940 Węgliniec; **Marian Machinek**, Wawrzyńska 6, 43—180 Orzesze.

M/S „KOSMONAUTA JURIJ GAGARIN”

DYNAMICZNY rozwój kosmonautyki w Związku Radzieckim zrodził konieczność zbudowania specjalnych jednostek morskich — statków obserwujących sztuczne obiekty kosmiczne wysłane przez człowieka. Statek kosmiczny okrążający Ziemię znajduje się w zasięgu jakiejś naziemnej stacji zaledwie przez około kilkanaście minut (w czasie jednego okrążenia). Po tym okresie chowa się za korytarzem i łączność z nim staje się utrudniona albo wręcz niemożliwa. Idealnym więc rozwiązaniem byłoby zbudowanie wokół naszej planety tylu stacji, aby mogły one przekazywać sobie pojazd kosmiczny, niejako „z ręki do ręki” a ściślej — „z anteny do anteny”. Takie jednak rozwiązanie jest możliwe z tej prostej przyczyny, że Ziemię otaczają oceany. Dlatego właśnie powstała cała flotylla statków — laboratoriów współpracujących z naziemnym ośrodkiem dowodzenia lotami kosmicznymi i naturalnie z samymi statkami. W ZSRR takich statków zbudowano już dziesięć. Flagową jednostką jest „Kosmonauta Jurij Gagarin” (na zdjęciu).

Wielkość „Kosmonauty Jurija Gagarina” porównywać można do 11-piętrowego domu. 11 pokładów statku to 1250 różnego rodzaju pomieszczeń, których łączna powierzchnia przekracza 20 tys. m kw. Statek ma 231 m długości, 31 m szerokości, wyporność 45 tys. ton. Przebywa na nim 435 ludzi, z których 155 stanowi załogę, a reszta — ekipę pracowników naukowych: astronomów, radiofizyków, matematyków, geografów, inżynierów i techników. Jednostka zabiera w podróż 11 tys. ton paliwa — wystarczy to na pokonanie trasy dookoła globu bez zawijania do portu.

Na górnym pokładzie wznoszą się cztery wielkie anteny — dwie o średnicy 25 m i dwie 12-metrowe. Statek dysponuje też 100 antenami radiowymi dla wychwytywania sygnałów z kosmosu, przekazywania dyspozycji sztucznym satelitom, nawiązywania kontaktu z naziemnymi stacjami kontroli lotu i łączności z pilotowanymi pojazdami kosmicznymi. Przeciętny okres połączenia ze statkiem kosmicznym lub sztucznym satelitą wynosi siedem minut. W tym czasie naukowcy ustalają trajektorię, określają więc pozycję obiektu w przestrzeni kosmicznej, uzyskują wszystkie informacje o samoczynnie działających urządzeniach nadawczych satelity. Wymaga to nadzwyczajnej czułości instalacji odbiorczych. Urządzenia te, działające na pokładzie „Kosmonauty Jurija Gagarina”, byłyby w stanie odróżnić, wychwycić i zanotować, czysto, bez zniekształceń, głos jednego wybranego kibica w wiwatującym tłumie widzów na stutysięcznym moskiewskim Stadionie Łużnickim.

Flagowy statek wyposażony jest w elektrownię pokładową produkującą tyle energii ile potrzeba stutysięcznemu miastu. Są tam też kluby sportowe, kawiarnie, jest basen ze słodką wodą a nawet sala kinowa z panoramicznym ekranem.

Naukowcom M/s „Kosmonauty Jurija Gagarina” pomagają w pracy dwa pokładowe komputery typu „Minsk — 22”. Wykonują one przede wszystkim żmudne obliczenia orbit krążących aktualnie w kosmosie obiektów.

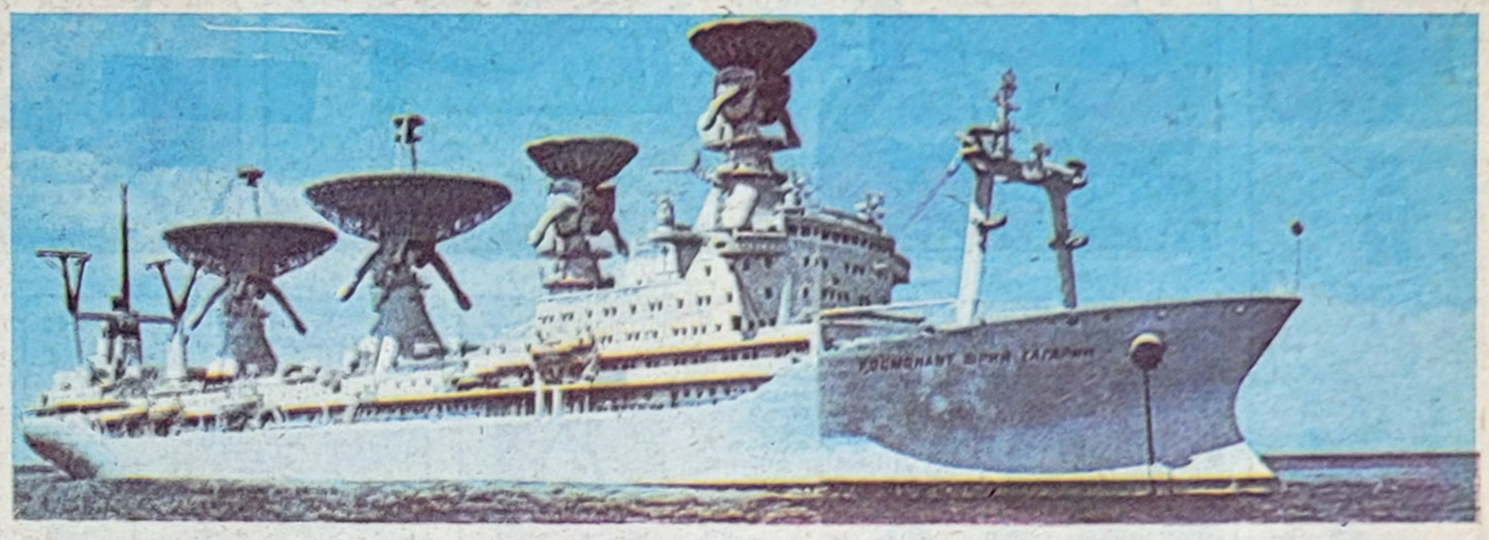

TAJEMNICZE PROMIENIOWANIE BOMBARDUJE ZIEMIĘ

CZY JESTEŚMY ŚWIADKAMI ŚMIERCI GWIAZDY?

PRAWDOPODOBNIE gdzieś w kosmosie doszło do kataklizmu, który wyzwolił gigantyczną energię. Astronomowie w Europie, Ameryce i Australii kierują radioteleskopy i teleskopy optyczne w stronę, z której napływa ogromna ilość energii i zadają pytanie — co to jest?

Jedyne co wiadomo na pewno, to to, że intensywność promieni X (rentgenowskich), która w ciągu ostatnich kilku dni wzrosła 5-krotnie w porównaniu z największymi emisjami dotychczas notowanymi jest wynikiem kataklizmu w przestrzeni kosmicznej.

Pierwsza słaba emisja tych promieni odkryta została w dniu 3 sierpnia przez brytyjskiego satelitę naukowego „Ariel 5”. Profesor Kenneth Pound, dyrektor instytutu promieniowania na wydziale astronomii Uniwersytetu w Leicester, powiedział korespondentowi Reutera, iż astronomowie na całym świecie próbują zbadać to niezwykle ciekawe zjawisko. Obecnie koncentruje się wszystkie wysiłki w celu dokładnego ustalenia, jak daleko od naszej planety znajduje się owo tajemnicze źródło promieniowania.

Jeśli uda się ustalić odległość — mówi prof. Pound — będzie można obliczyć rzeczywiste rozmiary obiektu i intensywność promieniowania, będzie też można ustalić, z jakim właściwie zjawiskiem mamy do czynienia.

Według profesora Pounda, gwałtowny wybuch promieniowania X może być wynikiem „śmierci” gwiazdy, czyli załamania się jej struktury pod działaniem sił grawitacyjnych. Gwiazda w pewnym stadium swego rozwoju „zapada się” niejako do środka. Kurcząc się gwałtownie wyzwala przy tym ogromne ilości energii — tłumaczy profesor Pound.

W inny sposób tłumaczy przyczynę wzrostu tego promieniowania prof. Bohdan Paczyński z Zakładu Astronomii PAN. Oto co mówi on na ten temat:

— Znamy obecnie ok. 100 stałych źródeł promieniowania rentgenowskiego w kosmosie. Co pewien czas, raz na kilka miesięcy, pojawia się jakieś nowe źródło, które jednak po kilku miesiącach gaśnie.

Według obecnego stanu wiedzy kosmicznej źródłami promieniowania są w większości tzw. gwiazdy podwójne, czyli pary gwiazd krążących wokół siebie pod wpływem wzajemnego przyciągania grawitacyjnego. Jeżeli jeden ze składników gwiazdy podwójnej jest gwiazdą zwykłą — podobną do naszego Słońca, a drugi — gwiazdą neutronową lub tzw. czarną dziurą, działanie sił grawitacyjnych powoduje przepływ materii. Spada ona ze zwykłej gwiazdy na gwiazdę neutronową lub do czarnej dziury rozgrzewając się przy tym do temperatury wielu milionów stopni. Rozpalona materia emituje promieniowanie rentgenowskie.

Wykryte przez brytyjskiego satelitę promieniowanie nie zagraża w niczym życiu czy zdrowiu mieszkańców Ziemi. Zakłóca jednak w pewnym stopniu łączność radiową.

(też braciszek mi pomógł w zorientowaniu się w czym rzecz), wspólnie naprawialiśmy radia, któregoś dnia dał mi nawet jakiś aparat, żebym go samodzielnie zreperowała. Namęczyłam się okropnie, przez trzy wieczory tkwiłam w domu, ale udało się.

Poklepał mnie po ramieniu.

— Będą z ciebie ludzie, Hanka — powiedział.

Nagrywaliśmy wspólnie rozmaite najokropniejsze zespoły. Dzikie wrzaski i porykiwania to było coś za czym Marcin przepadał. Próbowałam to także polubić. Nie bardzo mi się jednak udawało.

Któregoś dnia zaproponował mi kino. Miałam łzy w oczach ze wzruszenia i radości.

Oczywiście był to jakiś szalony film przygodowy. Prawie nic innego się nie działo, tylko bijatyka, rozbijanie sobie wzajemnie łbów, ucieczki, przeskakiwanie nieoczekiwanych przeszkód i znów bójki.

Marcin wpatrywał się w ekran jak urzeczony, od czasu do czasu pokrzykiwał entuzjastycznie, zachęcał do bardziej skutecznej akcji bijących się, klepał się po udach.

— Widzę po twojej minie, że nie jesteś zachwycona — powiedział kiedy wyszliśmy. — A przecież to był wspaniały film!

— Mnie też się bardzo podobał — skłamałam. — Tylko trochę boli mnie ząb.

— A ta scena w karczmie, przecież to było fantastyczne. Miał facet krzepę, nie? — uśmiechał się do swoich niedawnych wrażeń.

Kiwałam głową z udanym zapałem.

Minęło kilka dni. Na próżno czekałam, że się do mnie odezwie, albo zjawi się u mnie w domu. Niestety.

Skorzystałam więc z okazji, że Jackowi popsuł się tranzystor i pobiegłam do niego.

Otworzył mi drzwi, jakby trochę zmieszany.

— Nie umawialiśmy się na dzisiaj — powiedział.

— Przyniosłam radio...

Z pokoju wyjrzała jakaś blondynka.

Serce mi zamarło.

— O, to jest właśnie Hanka — powiedział do niej. — Poznajcie się. Opowiadałem Monice o tobie.

Blondynka patrzyła na mnie dość obojętnie. Ja nie umiałam ukryć rozpaczy.

— Ty, wiesz — zagadał szybko Marcin. — Hanka powinna się urodzić chłopakiem. Wszystko potrafi. Nawet radio zreperować. I zna się na boksie, na piłce nożnej...

Monika popatrzyła na mnie jak na jakiegoś dziwoląga.

— I nawet prądu się nie boi — powiedział Marcin. — Nie to co ty, mały tchórzu...

Zabrzmiało to jak najczulsza pieszczota.

Monika spojrzała na mnie, zrobiła kretyńską słodką minkę.

— Ja się okropnie boję prądu — zaseplenila.

— Nie tylko prądu — dodał z zachwytem Marcin. — A myszy? Powiedz, co robisz na widok myszy?

— Och, przestań — zaszczebiotała. — Przestań.

— Na widok myszy Monika wskakuje od razu na stół — zaśmiewał się Marcin i patrzył na nią jak na jakieś nadziemskie zjawisko. — A burza? Boże jak ona okropnie boi się burzy? A do ciemnego pokoju nie wejdzie sama za żadne skarby.

— Wszystkiego się boję — powtórzyła Monika i znów spojrzała.

„Idiotka” — pomyślałam. „Przecież taka dziewczyna absolutnie nie może mu się podobać”.

— A już o żadnych meczach nie może być mowy. — Ciągnął dalej swój hymn zachwytu.

— Och — wyszeptała tym razem dla odmiany mdlejącym głosikiem. — To przecież takie brutalne.

— Ona jest bardzo delikatna — uzupełnił Marcin. — Uśmiechnęłam się z przymusem. Ciągle jeszcze stałam w progu z moim tranzystorem w objęciach.

— To ja już chyba pójdę — powiedziałam i czekałam na jego sprzeciw. Jeszcze nie wierzyłam w rzeczy oczywiste.

Sprzeciwu nie było.

Odprowadził mnie grzecznie do przedpokoju.

— Ach, przyniosłaś jakieś radio.

— E, to chyba drobiazg. Może sama dam radę.

— Jak chcesz, Hanka — powiedział. — Możesz zostawić. Ale znając ciebie... Na pewno dasz radę.

Wyciągnął rękę i poklepał mnie koleżeńskim gestem po plecach. Uchyliłam się gwałtownie. Popatrzył zdziwiony.

— Gniewasz się o coś? — zapytał.

— Ale skąd — powiedziałam, powstrzymując z największym wysiłkiem łzy.

— Do widzenia — powiedziałam.

— Do widzenia. Ale musisz przyznać, że ona jest urocza, prawda? Taka dziecinna? I troszeczkę zabawna.

— Tak, bardzo zabawna — powiedziałam i już mnie nie było.

Zbiegłam po dwa stopnie ze schodów, żeby dalej, żeby już być dalej.

KONIEC

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: al. 3 Maja 7, 40-096 Katowice.

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki, Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wojciech Pielecki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska, Bożena Zwolińska.

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	28-56-18

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA — RSW „Prasa—Książka—Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00—561 Warszawa, ul. Koszykowa 6 A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52, 29-56-19. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo - telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Wronia 23, 00-840 Warszawa, konto PKO 1-6-100024. Sprzedaż numerów zdezaktualizowanych na pisemne zamówienie prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa

Opracowanie graficzne: Tadeusz Baranowski

Redakcja techniczna: Witold Stefańczak

DRUK: Państwowe Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego". Warszawa. Zam. 108/3723 B-103

Nr indeksu — 25839/33044.

PORADNIK RADIOAMATORA

DOKOŃCZENIE

Mecz skończył się na szczęście dość szybko.

Marcin zajrzał do radia.

— Ciekawe — powiedział i pokręcił głową. — Przecież wszystko dokładnie sprawdzałem... Czyżbym to przeoczył. No, drobiazg. Zrobi się na poczekaniu.

— Znów coś z kondensatorem, prawda?

— A ty skąd wiesz? — zdziwił się.

— Mówiłam ci, że się trochę na tym znam.

— No, to mi się podoba — pochwalił mnie. — No, bo powiedz sama. Niby macie tę emancypację, dostępne są dla was wszystkie zawody, macie wszelkie szanse, a nie chcecie z tego korzystać. Niby odważne, dzielne, a wystarczy, żeby wybiegła z norki mysz, a już pisk, wrzask, wskakiwanie na krzesło, niech się na filmie trochę krwi poleje, już wam słabo, zamykacie oczy, mdlejecie. „Och! Ach! Jakie to straszne"! Zwariować można.

— Cały czas mówisz nie wiadomo o kim.

— O dziewczynach!

— Chyba nie wszystkie są takie.

Walki bokserskie miały się odbywać znów za kilka dni. Poprosiłem Jacka, mojego brata, żeby mi trochę wytłumaczył na czym cała rzecz polega. Zdziwił się trochę, ale cierpliwie mi wyłożył. Obejrzeliśmy jedno spotkanie od początku do końca, był nawet zadowolony, że się może wygadać. Zresztą było to wszystko dosyć proste, wszystko świetnie rozumiałam. Co nie znaczy, że polubiłam boks. Jednakże przyszłam do Marcina specjalnie w porze, kiedy miał się odbyć kolejny mecz.

Oczywiście zastałam go przed telewizorem z nieprzytomnym wzrokiem wlepionym w ekran.

Tym razem ja powiedziałam.

— Świetny był ten sierpowy, prawda?

— Aha! — przyznał. — Doskonały.

— Ale mu przyłożył — zawołałam po chwili.

— Wprost mistrzowski!

I spojrzał na mnie, jakby dopiero teraz dotarł do niego sens moich słów.

— Wiesz ty co? — powiedział z uznaniem. — Ty chyba naprawdę jesteś zupełnie wyjątkowa dziewczyna.

Aż poczerwieniałam ze szczęścia.

Potem jeszcze spędziliśmy wiele wspólnych wieczorów przed telewizorem. Oglądaliśmy dwa mecze piłki nożnej

Dokończenie na str. 7

Zdaje się, że poszedł do kina — powiedziała babcia. Serce mi się ścisnęło.

Musiałam też mieć chyba odpowiednio zbolałą minę, bo uśmiechnęła się i dodała.

— Kolega go wyciągnął.

— To ja chyba zostawię radio. Znów tam się coś zepsuło.

— Proszę bardzo. Wejdź kochanie do jego pokoju i postaw na stoliku.

— Ja może jeszcze wpadnę dzisiaj.

— Proszę bardzo, przyjdź. Około siódmej powinien już być.

Był. Siedział przed telewizorem.

Kiedy weszłam, zamachał niecierpliwie rękami.

— Siadaj i siedź cicho. Teraz rozgrywa się najciekawsza walka. O, rany, ale go zaprawił. No, teraz to już pewne. Na ekranie okładali się pięściami dwaj zawodnicy. Obaj mali, grubawi. Okropnie nie lubię boksu. Siedziałam jednak w milczeniu.

— Ale mu przyłożył. No, jeszcze raz, jeszcze raz. Powtórz to samo. Kiwa się, popatrz — zwrócił na chwilę do mnie głowę, widziałaś to uderzenie. Ten lewy prosty był doskonały. Rewelacyjny! — znów popatrzył na mnie, skrzywił się lekceważąco. E, zupełnie zapomniałem do kogo mówię. Przecież ty się zupełnie na tym nie znasz. Widzę po minie.

Trochę się znam... Chodziłam z bratem na mecze — skłamałam.

I zaraz się zaczerwieniłam, dobrze, że w pokoju był półmrok. Zresztą on i tak nie zwracał na mnie uwagi.